



JOANNA HACZ

Chabrowe sny
o wiosnie



Joanna Hacz

CHABROWE

SNY O WIOSNIE

© Copyright by Joanna Hacz & e-bookowo
Projekt okładki: e-bookowo
ISBN 978-83-63080-29-7

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2011

„Nadzieja umiera ostatnia...”

Halina Birenbaum

*Rodzicom, najważniejszym ludziom
w moim życiu...*

Joanna Hacz

Literatury pięknej z tego nie będzie...

*A wszelkie osoby i wydarzenia opisane w tej
książce są całkowicie fikcyjne, natomiast ich
zbieżność z rzeczywistością jest oczywiście
przypadkowa.*

Znowu lało! Świetnie! Po prostu rewelacyjnie! Krople deszczu spływały mi po krótkich, niedawno obciętych i przefarbowanych na bordowo włosach wprost za kołnierz skórzanego, wiosennego płaszczka. Byłam bezgranicznie wręcz wściekła. Skórzany płaszczek w kolorze ciemnej wiśni, sięgający zaledwie do kolan, pętał się bezradnie pomiędzy moimi nogami, przepuszczał okazałym dekoltem chłód nocy i szeleścił od czasu do czasu irytująco zgrzytliwie. Miałam pod nim wyłącznie obcisłą, niebieską, przerażająco krótką sukienkę na krótki rękaw, nogi opinały mi czarne, siatkowane rajstopy, a wysokie obcasy wiosennych sandałów utykały w każdej, mijanej po drodze dziurze.

Przeklinając samą siebie i złorzecząc wszystkim mężczyznom świata, wracałam właśnie dziarskim, energicznym krokiem z ciekawie zapowiadającej się randki do domu. Krzysztofa, właściciela sklepów „Pierwiosnek”, poznałam zaledwie dwa dni temu, urządzając mu dość okazałą awanturę na samym środku ulicy, na której to omal mnie nie przejechał. Pisałam akurat artykuł na temat wypadków samochodowych, byłam dziennikarką, targnęła mną pasja i już przepadło. Urzeczony kierowca, któremu wygrażałam ręką, stojąc tuż przed maską jego luksusowego samochodu, przeczekał wszystkie moje metafory, epitety oraz porównania, ze stoickim spokojem zjechał na pobocze jezdni, po czym, ignorując całkowicie moją wściekłość, zaprosił mnie po prostu na kolację. Zgodziłam się. Jak ostatnia idiotka zrezygnowałam ze swoich słuszných pretensji, wjechał przecież na mnie na pasach, po czym, tracąc już zapewne resztki posiadanego rozsądku, ubrałam na siebie coś, od czego zaparło mu dech w piersiach...

Na kolacji bawiłam się nawet dość dobrze. Niestety. Zaraz po wyjściu z restauracji mój towarzysz potraktował mnie wprost proporcjonalnie do niezbyt fortunnie dobranego do okazji stroju. Usłyszał kolejną porcję nad wyraz wyszukanych środków poetyckich, poznał siłę mojego poczucia god-

ności oraz został porzucony z niezwykle głupim wyrazem twarzy w swoim samochodzie, na restauracyjnym parkingu.

Istna orgia szczęścia – myślałam z mściwą ironią. Lepiej już być nie mogło. Na własną głupotę nie mogłam nic przecież poradzić. Znajdowałam się właśnie w początkowej fazie dziesięciokilometrowej trasy pomiędzy restauracją a miastem. Wokół mnie liczne krzaki i pola, gdzieś migoczące w oddali światła wiejskich domów, głucha, ciemna noc, ulewa i wiatr i absolutnie żadnych innych perspektyw oprócz tej, że zmuszona byłam dotrzeć do swojego domu w samym centrum miasta na własnych nogach. Skruszone przeprosiny oraz liczne argumenty co do podwiezienia mnie chociażby do obrzeży miejscowości całkowicie zignorowałam. Wolałam już raczej umrzeć gdzieś w drodze powrotnej z wycieńczenia i z zimna niż uzależnić swoją wygodę od łaski człowieka, który usiłował właśnie zdeptać moje poczucie godności.

Kwiecień tego roku był bardzo ciepły, temperatura nocna jednakże z dość oczywistych względów opadała nad wyraz nisko. Usiłując więc nie zamarznąć z zimna, gnana dodatkowo siłą zrozumiałych emocji, na przemian raz szybko szłam, raz biegłam. Przebyłam w ten sposób mniej więcej około ośmiu kilometrów. W oddali widziałam już światła swojego rodzinnego miasta, u ramion urosły mi skrzydła... Niestety. Znienacka, całkowicie wręcz nieoczekiwanie zatrzymał się tuż obok mnie, zagradzając mi jednocześnie dalszą drogę do domu, jakiś nieznany samochód.

– Niech pani wsiada! Podrzucę panią! – zawołał zapraszająco młody, nieznajomy mężczyzna.

Akurat! – pomyślałam sobie gdzieś w głębi duszy, usiłując jednocześnie wyminąć niepożądaną przeszkodę.

– Dziękuję bardzo! Poradzę sobie! Mieszkam tu niedaleko!

– Ależ proszę wsiadać! Przemoknie pani do reszty!

– Deszcz mi nie szkodzi! Przemokłam około godziny temu!

– Niech pani, do cholery jasnej, wsiada! – krzyknął podirytowany facet, widząc bardzo wyraźnie, że wymijam go wielkim łukiem.

Zignorowałam go. Przyspieszając dość znacznie kroku, usiłowałam jednocześnie rozpoznać swoje własne uczucia. Nie wiedziałam bowiem, czy bardziej jestem tą sytuacją przerażona, czy podirytowana.

Mężczyzna nie zrezygnował. Podjechał kawałek w ślad za mną, wyminął mnie nader zręcznie, a następnie, po raz kolejny zagradzając mi drogę, wysiadł z samochodu i usiłował mnie wciągnąć do środka. Obezwładniony moją bezgraniczną wściekłością zrezygnował z przewożenia ofiary w jakieś zaciszne oraz odludne miejsce i usiłując dokonać zbrodni na miejscu, podarł mi całe moje siatkowane rajstopy oraz rozerwał dolny szewek sukienki. O dziwo! Odraza i niechęć do mężczyzn, jaką wywołał niechcący jego niefortunny poprzednik, a także dorównująca sile trąby powietrznej ślepa, miotająca mną furia, którą spowodował fakt, że jakiś brutalny zboczeniec ośmielił się na mnie napaść wkrótce po tym, co do tej pory już przeszłam, wywołały w mojej psychice stan, dzięki któremu nic ani nikt nie był mnie w stanie powstrzymać od dotarcia bez przeszkód do domu. Brutalnie potraktowanego mężczyznę, całego i zdrowego, aczkolwiek nie bardzo potrafiącego w ciągu najbliższych kilku minut poruszać nogami i tułowiem, przytrzaśniętego w skutek silnej irytacji drzwiami, pozostawiłam w pozycji klęczącej, z tułowiem opartym o tylne siedzenie samochodu, na poboczu ulicy.

Mokra, brudna, w podartej odzieży, z tuszem do rzęs rozmazanym po całej mojej twarzy usiłowałam dotrzeć czym prędzej do domu. Tej nocy skazana byłam najwidoczniej na całą gamę nader nieprzyjemnych atrakcji. Dobrnęłam właśnie do obrzeży miasta i z wytchnieniem ulgi na ustach, krocząc energicznym krokiem wąską, opustoszałą uliczką, usiłowałam przedrzeć się w miarę niepostrzeżenie do położonej w centrum „metropolii” ulicy, kiedy nagle, nad wyraz niespodziewanie, gdzieś w oddali ujrzałam z przerażeniem światła podążającego w ślad za mną samochodu. Pomyślałam sobie z niechęcią, że jest to zapewne ów pozostawiony na pastwę bezlitosnego losu zboczeniec i usiłując nie wchodzić mu więcej w drogę, weszłam czym prędzej pomiędzy rosnące nieopodal nowo otwartej kawiarni krzaki.

O dziwo! Ciemny, prawdopodobnie czarny mercedes, o dokładnie zachlapanych numerach rejestracyjnych nie był wcale tym, przed którym tak usilnie uciekałam. Wręcz przeciwnie! W porównaniu z moimi późniejszymi przeżyciami lęk przed mało groźnym zboczeńcem wydał mi się wyjątkowo dziecinny. Tajemniczy, ciemny samochód zaparkował nieśpiesznie vis á vis mnie, po drugiej stronie ulicy, wysiadło z niego dwóch, opatulonych od stóp do głów w ramach ochrony przed deszczem mężczyzn i ruszyło w kierunku nowo otwartej kawiarni. Nie potrafiłam zwrócić uwagi na ich wygląd, z naprzeciwka bowiem, niczym grecki bóg wojny, nadchodził właśnie piękny, młody elegant, ładząco podobny do znanego powszechnie aktora – Antonio Banderasa, a ja nie byłam w stanie oderwać od niego oczu.

Sobowtór filmowego amanta, wygwizdując pod nosem jakąś starą, skoczną melodię, skierował swoje kroki wprost do kawiarni, po czym sforsował niewielkie, frontowe drzwi i wszedł różnym krokiem do środka. Tego, co działo się wewnątrz, nie mogłam na szczęście zobaczyć. W środku, w samochodzie siedział ktoś jeszcze, tak więc uznałam po krótkim namyśle, że najrozsądniej będzie, jeżeli po prostu poczekam. Modliłam się tylko w duchu, żeby mężczyźni nie utknęli w kawiarni na zbyt długo. I rzeczywiście. Już po kilku minutach wyszli stamtąd sami, bez Antonia, wsiedli do samochodu i przy gromkich rykach załączonego wewnątrz alarmu, odjechali w kierunku centrum miasta.

Nie potrafiąc uczynić najmniejszego nawet ruchu, doczekałam się w tych upiornych krzakah nad wyraz szybkiej interwencji policji. Niestety! Moje kolejne usilne modlitwy nie pomogły mi absolutnie w niczym. Już po kilku chwilach bowiem nadgorliwi przedstawiciele prawa odkryli mnie bez większego wysiłku w moim dotychczasowym ukryciu i wywlekli z niego w olbrzymim samozaparcu na sam środek ulicy.

– O, Panie! Za co? – wyjęczałam dramatycznie, nie usiłując nawet zrozumieć, co takiego przybyli na miejsce funkcjonariusze próbowali do mnie powiedzieć. – Ja chciałam tylko wrócić do... domu.

– Pani jest świadkiem – powiedział do mnie jeden z nich, starając się jednocześnie prowadzić delikatnie pod ramię. – Pani pozwoli za mną. Tu niedaleko jest komisariat. Porozmawiamy sobie spokojnie. Proszę do samochodu.

– Ja nie chcę... Litości!... Ja chcę piechotą.

– Proszę się nie wygłupiać. Niech pani wsiada – próbował przemawiać łagodnie.

– Precz z łapami... szczeniaku – zauważyłam, że w najlepszym wypadku męczyzna jest w moim wieku.

– Proszę nie stawiać oporu. Porozmawiamy tylko przez chwilę. Potem będzie sobie pani mogła wrócić spokojnie do domu.

– Może ona jest w szoku – podsunął młodzieńcowi starszy rangą i wiekiem kolega. – Może jej trzeba lekarza?

– Wszystko, tylko nie lekarza! – zaoponowałam stanowczo, wsiadając dobrowolnie do radiowozu. – Nie jestem w żadnym szoku. Gdzie mój adwokat? – zapytałam w roztargnieniu, dzięki czemu zaczęłam wywierać na nich bardzo niekorzystne wrażenie.

– Nie potrzebuje pani żadnego adwokata – wyjaśnił bez przekonania młodzieniec. – Potrzebowałaby go pani wyłącznie w przypadku, gdyby to pani strzelała. Ale to chyba nie pani, prawda?

– Oszałał pan? Ja?! I dlaczego miałabym strzelać? Ktoś tutaj strzelał?!

Młodzieniec zignorował moje dociekliwe pytania i w zamian za to odpowiedział wymijająco:

– Sama pani widzi. Adwokat nie będzie nam do niczego potrzebny...

– A co pan tak ciągle tym adwokatem?...

– Przecież to pani zaczęła...

– I bardzo dobrze. Ale pan nie musi kontynuować.

– No, dobrze. Rozejm. Opowie nam pani wszystko, co pani widziała, a potem będzie pani mogła sobie spokojnie odejść.

– Odejść? – perspektywa kolejnych spacerów przyprawiła mnie nieomal o słabość w kolanach. – Miejcie choć trochę litości! Bardzo was proszę... Ja nie chcę już więcej chodzić.

– Bardzo słusznie. Nie musi pani chodzić. Odwieziemy panią.

– Odwieziecie mnie? Dokąd?

– Do domu.

– Świetnie. Bardzo się cieszę... Ale będzie z tym lekki problem. Ja zupełnie nie pamiętam, gdzie w chwili obecnej mieszkam – oznajmiłam im z nagłą, przejmującą rozpaczą, mając na myśli katastrofalną nazwę ulicy, o której, odkąd tylko miesiąc temu zamieszkałam w wynajętym M-3, regularnie zapominałam.

Mężczyźni popatrzyli na siebie ze zrozumieniem w oczach, zastanawiając się jednocześnie nad tym, czy jest sens wydobywania zeznań od osoby nie w pełni sprawnej psychicznie. Po krótkiej chwili wahania doszli wreszcie do wniosku, że powinni wezwać na posterunek policji osobę, która miałaby w takich przypadkach odrobinę rozleglejsze doświadczenie od nich.

– To jak? Dzwonić do Freddiego? – zapytał tuż po dotarciu na miejsce młodzieniec.

– Dzwon! Niech ona tutaj posiedzi, a my poczekamy na niego na zewnątrz – przytaknął mu, sadzając mnie jednocześnie zdecydowanym ruchem ręki na jednym z biurowych krzeseł starszy z policjantów.

Nie byłam zbyt dobrym materiałem do ufego pozostawiania mnie w samotności. Pech chciał, że akurat w tej właśnie chwili zauważyłam z przerażeniem w oczach charakterystyczny brak na swojej prawej dłoni pierścionkowego różańca. Zapewne pozbyłam się go nieumyślnie podczas owych żarliwych modlitw w krzakach. Był trochę luźny, a ja za bardzo przejęta i oszołomiona tym wszystkim, żeby zwrócić na niego uwagę wcześniej. Pierścionkowy różaniec stanowił dla mnie bardzo cenną, poświęconą w Częstochowie pamiątkę, miałam go od ponad dwóch lat i czułam się bez niego jak bez ręki. Nie myśląc więc o absolutnie niczym innym niż uwierająca mnie w serce zguba, wyszłam sobie jakimś dziwnym zrządzeniem losu całkowicie niezau-

ważona przez faceta w dyżurce na ulicę, po czym, w odruchu zdecydowania, powróciłam dość szybkim krokiem w miejsce, z którego mnie właśnie przywieziono i z uporem przerastającym osła przeszukałam w bardzo skuteczny sposób wszystkie rosnące w pobliżu kawiarni krzaki.

Po kilkunastu minutach dwaj, rozmawiający ze mną wcześniej policjanci sprowadzili wreszcie do komisariatu potrzebnego im do porozumienia się ze mną kolegę. Nakreślili mu w skrócie zaistniałe tej nocy zdarzenia, zaprowadzili go z niepewnymi minami do pokoju, w którym miałam za nimi czekać i... Piekło, jakie spowodowałam swoim niespodziewanym zniknięciem, przerosło swoimi rozmiarami nawet fale tsunami. Kiedy więc ponownym, dziwnym zrządzeniem losu powróciłam niezauważalnie w ramach obywatelskiego obowiązku do porzuconego na pastwę losu posterunku, osiągało właśnie swój punkt kulminacyjny.

– Proszę pana, zginął wam ktoś? – zapytałam domyślnie na widok znajomego już teraz policjanta. Wszystko wokół wskazywało bowiem na to, że w panicznym bezładzie, jaki z chwili na chwilę się powiększał, usiłowali odnaleźć jakąś ważną, z niezrozumiałych przyczyn zagubioną przez nich osobę.

– Owszem! Świadek... – odparł odruchowo funkcjonariusz, którego zaledwie niecałą godzinę wcześniej nazwałam niefortunnie szczeniakiem. – Ale... Przecież... Przecież to właśnie pani!

– Owszem! To ja! – przytaknęłam, niczego jeszcze nie rozumiejąc.

– Gdzie do ciężkiej...? O, przepraszam!... Ja nie... Zresztą! Niech pani nigdzie stąd nie odchodzi. Ja zaraz wrócę... O, rany... Nie! Nie! – uzmysłowił sobie, że powtarza swój stary, mający niepożądane skutki błąd. – Niech pani nie czeka. Pani pójdzie ze mną... Chłopacy! Jest nasza zguba!... – zawołał radosnym, donośnym głosem, po czym złapał mnie delikatnie pod ramię. – Proszę iść przodem. Jeszcze znowu mi gdzieś pani przepadnie. Tak, tak! Znalazła się!...

Patrzyłam na całe to burzliwie opadające napięcie z ogromnym zaintrygowaniem. Od zawsze uwielbiałam zamieszanie i dezorientację, a moja ko-

chająca przygody dusza śpiewała niemalże peany dziękczynne każdemu, kto potrafił je umiejętnie wywołać.

– I co? Jest psychiatra? – zapytałam z niemalym zainteresowaniem, kiedy zaprowadzili mnie już do pokoju, w którym czekałam na nich poprzednio. Spokój oraz poczucie humoru wracały powoli na swoje dawne miejsce.

– Niech pani powie lepiej, gdzie pani w ogóle była – zaproponował młodzieniec, nie siląc się nawet na udzielenie mi jakiegokolwiek odpowiedzi.

– W krzakach – odparłam wobec tego bardzo zwięźle oraz rzeczowo.

– Czy mogłaby pani wyrażać się nieco precyzyjniej?

– Ależ proszę bardzo... – ucieszyłam się niewymownie. – Zobaczyłam, że zginął mi różaniec... O! Ten... I poleciałam go szukać w krzakach. Nikogo nigdzie nie było, panowie sobie poszli... Niech pan tak na mnie nie patrzy. Przecież wróciłam. Cała, zdrowa i na dodatek ze zgubą... Wyszłam wyłącznie odruchowo.

– I równie odruchowo pani wróciła? – Funkcjonariusz policji poczuł, że mój tok myślenia ma na niego nieodwracalny, bardzo zgubny wpływ. Zaczął się nawet zastanawiać, czy główny przepływ mojej niecodziennej logiki ma swoje podłoże w głupocie, beztrosce, szoku, czy też całkowitym rozkojarzeniu...

– Nie. Nie odruchowo. Wróciłam w poczuciu obywatelskiego obowiązku... W końcu! Podobno byłam waszym świadkiem, prawda?... A tak poza tym, to muszę przyznać, że zupełnie nie wierzę, że pozwolilibyście mi odejść w całkowicie świętym spokoju. Wyrwiecie ze mnie to nieszczęsne zeznanie nawet razem z wątrobą.

– Bardzo słusznie pani nie wierzy – poparł mnie zamasyście, odrobinę jakby podirytowany.

– A z tym psychiatrą, to co? – powróciłam do głównego tematu. Nie wiadomo bowiem dlaczego, ale odniosłam wrażenie, że wzięli mnie za wariatkę.

Przedstawiciel prawa popatrzył na mnie z dezorientacją, westchnął głęboko, po czym odparł w ramach kapitulacji.

– To nie jest psychiatra – pokiwał filozoficznie głową. – To po prostu funkcjonariusz, który zajmie się sprawą. Ja spiszę protokół, a pani z nim porozmawia.

– A dlaczego akurat z nim? Z panem nie mogę?

– Przepraszam... Czy pani to sprawia jakąkolwiek różnicę?

– Cóż... Niby nie... Ale do pana jestem już przyzwyczajona – wyznałam w przypływie szczerości, spojrzałam na wchodzącego właśnie mężczyznę i trafił mnie grom jaśnisty. – Winicjusz?... Jak się masz, Wińciu? Kopę lat! Nie widziałam cię już od wakacji.

Winicjusz, czyli w rzeczywistości Mirosław Witrażewski, był wysokim, dobrze zbudowanym i tak przystojnym mężczyzną, że kiedy niecałe pięć lat temu ujrzałam go po raz pierwszy na oczy, od razu skojarzyłam go sobie z równie pięknym, czarnookim brunetem, jakim był bohater czytanej wówczas powieści „Quo vadis” – Marek Winicjusz. Trzydziestojednoletni już teraz mężczyzna od samego początku naszej znajomości pałał do mnie nieuzasadnioną i nieskrywaną taktownie antypatią, co dla odmiany w mojej duszy wywoływało pobłażliwe, złośliwe pokłady ironii. Wprawdzie zawarliśmy w minione wakacje pewien rodzaj niepisanego rozejmu, jednakże było to porozumienie nie mające dalekiej przyszłości.

– Rany...!!! To znowu TY...!!! – jęknął rozpaczliwie, bynajmniej niezachwycony Winicjusz, siadając z niechęcią przy biurku. – Mogłem się tego domyślić. Dla nikogo innego nie ściągaliby mnie tutaj w środku nocy.

– Freddie, znacie się? – zapytał nieśmiało kolega.

– Freddie? – podchwyciłam od razu, spoglądając znacząco na nowo nabytą, szpecącą dość pokaźnie prawie całą lewą połowę jego twarzy, nieregularną i grubą bliznę, która przebiegała od jednego z kącików jego oka aż do brody, zahaczając po drodze o usta. – Aaaaa... Freddie Kruger! „Koszmar z ulicy Wiązów”! – skojarzyłam z radością. – I co? Pewnie straciłeś co nieco na dotychczasowej pewności siebie? Idealnie sięgnął bruku.

– A ty co? Zgubiłaś drogę pod latarnię? – Popatrzył z ironią na moje niefortunnie dobrane ubranie.

– Cóż... Jakoś trzeba zarabiać na życie. Witek kiepsko nam płaci. W każdym bądź razie na faceta z mieczem jeszcze nie natrafiłam...

– Doceniam twoje poczucie humoru, wołałbym jednak załatwić to wszystko jak najprędzej...

– Ja również. W razie gdyby to umknęło waszej bystrej uwadze, jestem zmęczona, przemarznięta i cała mokra.

Winicjusz popatrzył wymownie w kierunku kolegi po fachu, a ten poderwał się żwawo z krzeselka, wybiegł czym prędzej z pokoju i już po niespełna pięciu minutach wrócił z powrotem, niosąc ze sobą kubek gorącej herbaty, aspirynę i gruby, wełniany koc.

– Dziękuję. – Owinęłam się czym prędzej od stóp po głowę, nie zwracając na razie uwagi na parujący zachęcająco napój.

– A więc! – kontynuował tymczasem Winicjusz. – Czy mogłabyś nam teraz wyjaśnić, coś takiego nieocenionego dostrzegłaś w nocnych przechadzkach po deszczu?

– Przykro mi, jeżeli cię rozczaruję, ale nie robiłam tego wyłącznie dla przyjemności. Wracalam akurat z Kmiecica, a to ubranie podarł na mnie jakiś zboczony kretyn.

Obu mężczyzn zwyczajnie замуrowało. Nazwa odległej od naszego miasta restauracji, z której rzekomo wracałam piechotą do domu, wywarła na nich nad wyraz duże wrażenie, a mój końcowy, wstrząsający skrót myślowy wprowadził ich w tak skomplikowany stan uczuciowy, w którym niedowierzanie, zmieszanie, współczucie i zgroza wymieszały się ściśle ze sobą, że odruchowo zamilkli na bardzo długą chwilę, nie wiedząc, jak właściwie powinni byli na to moje niecodzienne wyznanie zareagować.

– A propos! – przerwałam gnębiącą nas wszystkich ciszę. – Jeżeli nie macie nic przeciwko, to chciałabym zgłosić od razu nieudaną próbę dokonania na mnie gwałtu... Panie, jaka ja jestem zmęczona!...

Mężczyźni popatrzyli na siebie porozumiewawczo. Wykorzystując okazję mojego niespodziewanego przypływu rozzalenia, jeden z nich robił rozliczne notatki, drugi spisywał protokół.

– ...Myślałam więc, że to ten uparty jak osioł zboczeniec i weszłam na wszelki wypadek w rosnące nieopodał krzaki... – kontynuowałam zadziwiająco opowieść. – Jeżeli chodzi o markę samochodu, którym przyjechali przestępcy, to był to mercedes. Mercedesy akurat rozróżniam. Mają takie charakterystyczne kółko z przodu... Bardzo możliwe, że czarny. Nie jestem pewna. Było zbyt ciemno. A numery rejestracyjne miał zachłapane. Tych dwóch facetów, którzy z niego wysiedli, w ogóle nie obejrzałam. Ten pojedynczy przypominał mi do złudzenia Antonio Banderasa i nie potrafiłam na niego nie patrzeć. Zdezorientował mnie. Nie wiedziałam, czy nie mam przywidzeń...

Powoli, usiłując odtworzyć w pamięci najdrobniejszy nawet szczegół, opowiadałam im wszystko to, co miałam okazję zobaczyć i zapamiętać. Po trzykrotnym wygłoszeniu na ich żądanie zarówno opowieści o próbie gwałtu, jak i relacji z zajścia mającego miejsce w ziejącej zbrodnią kafejce, skapiulowałam wreszcie.

– Dajcie mi chociaż chwilę świętego spokoju – wymamrotałam niechętnie, opatulając się jednocześnie nieco szczelniej kocem. – Dochodzi druga nad ranem. Za kilka godzin idę do pracy. Mogę wejść do was po południu i opowiadać wam to wszystko w kółko nawet dziesięć razy. A na razie...

– Dobrze. Jest pani wolna – odpowiedział młodzieniec. – Nie będziemy już dłużej pani męczyć. Ale gdyby pani była tak miła... Jak to wszystko przepisz jutro rano na czysto...

– No, dobrze – obiecałam domyślnie. – Mogę przyjść i podpisać zeznania.

– Kaśka, odwiozę cię do domu – zaproponował Winicjusz.

– Dziękuję ci bardzo, ale stąd mam już blisko. Mogłam przejść dziesięć kilometrów, to kilkaset metrów tym bardziej nie powinno mi niczym zaszkodzić... Jeżeli można... Zatrzymam do jutra ten koc. Tak mi z nim ciepło...

– Ależ... Proszę bardzo! – przyświadczyli obydwaj zamasyście.

Wśród eskorty dwóch młodych, przystojnych mężczyzn zesłam na dół, dotarłam do drzwi wyjściowych, a następnie wysłam na zewnątrz budynku. Tuż za mną szedł akurat Winicjusz, tak więc kiedy tylko przystanęłam z zaskoczeniem na samym środku wejściowych schodów, mimowolnie wpadł mi na plecy.

– No, co jest? – zapytał, usiłując zachować jako taką równowagę i podążyć jednocześnie w ślad za moim przestraszonym, nieporównywalnie wściekłym wejrzeniem.

– Ty, kto to? – zagadnęłam, opierając się z rozpędu o barierkę.

Winicjusz popatrzył we wskazanym przeze mnie kierunku. Na chodniku tuż przed nami widniały wyłącznie dwie, niesprawiające żadnego wstrząsającego wrażenia osoby. W jednej z nich rozpoznał swoją własną, czekającą na niego w samochodzie dziewczynę, w drugiej, stojącej naprzeciw i rozmawiającej z nią z dość dużym ożywieniem, rozpuszczonego, oszalamiająco przystojnego siostrzeńca tutejszego prokuratora.

– Siostrzeniec prokuratora – odparł wobec tego zgodnie z prawdą niepodejrzewający niczego złego Mirek.

Ja tymczasem zareagowałam w sposób wysoce w takich przypadkach niepożądany.

– Nie daruję ci tego! – wysyczałam zajadle w kierunku beztrosko uśmiechniętego mężczyzny, rozpoznawszy w nim swojego niedosłego gwałciciela.

Cała czwórka stojących nieopodal mnie osób popatrzyła na siebie z zaskoczeniem.

– Do mnie mówisz? – zapytał wreszcie z beczelnym wyrazem ironii na swojej przystojnej twarzy siostrzeniec prokuratora.

– Oczywiście, że do ciebie. Trafiłeś na niewłaściwą osobę...

– To jakaś wariatka. Po raz pierwszy w życiu widzę ją teraz na oczy. Czego pani się czepia?

– O tym, czy widzisz mnie po raz pierwszy, zadecyduje sąd. Złożyłam właśnie zeznania...

- Mirek, kochanie... – przemówiła wysiadająca z samochodu dziewczyna.
– Znasz tę histeryczkę?

Usiłujący wyminąć mnie bezskutecznie Winicjusz pomyślał sobie, że ma ogromną ochotę udusić stojącego naprzeciw niego mężczyznę. Domyślił się, dlaczego go zaczepiłam. Już od kilku lat usiłował udowodnić bezskutecznie liczne drobne i poważniejsze przestępstwa kryjącemu się za plecami wujka prokuratora, pewnemu sobie łotrowi, ale niestety, nie do końca był przekonany, czy powinnam się, być może bezskutecznie zresztą, narażać. Jeżeli bowiem przytrafiłby mi się w ostateczności jakiś nieszczęśliwy, tragiczny wypadek, nigdy i nikomu nie można byłoby niczego udowodnić.

- Kochanie? – zapytałam tymczasem, spoglądając w kierunku wyzywająco ubranej, przepięknej, wysokiej, posiadającej nieskazitelną figurę kobiety.
– I ty skrytykowałeś moją sukienkę... Albo ty jesteś ślepy, albo całkowicie upadło ci dzisiaj na głowę. W porównaniu z nią wyglądam jak zakonnica.

– Ale... Do ciebie to nie pasuje... – skomentował z rozpędu Winicjusz.

- Jasne! Ja przecież wcale nie jestem kobietą. Podkreślanie takiej urody jak moja jest rzeczywiście żalosne... Róbcie sobie, co chcecie. Wiecie już, kto usiłował mnie zgwałcić... Ja wracam do domu.

Nie zauważyłam ich późniejszych poczynań. Ogarnięta bezgranicznie oślepiającą mnie furią, ruszyłam bezmyślnie przed siebie, całkowicie nie dbając o to, że wybieram o wiele dłuższą i o tyleż bardziej skomplikowaną drogę do domu.

W kuchni wynajmowanego do spółki mieszkania zastałam troje czekających na mnie po ciemku, niezwykle zdenerwowanych współlokatorów oraz jednego, zarażonego ich doskonale wyczuwalnym niepokojem psa. Do moich współlokatorów zaliczała się zajmująca wraz ze mną jeden z dwóch pokoi przyjaciółka Marzena oraz mieszkający wraz ze swoim kolegą Sebastianem w pokoju gościnnym przyjaciel Remik. Zarówno Marzenę, jak i Remika poznałam już w czasach szkoły podstawowej, chociaż nierozłącznymi przyjaciółmi pozostaliśmy dopiero w liceum, przy czym na wspólnych studiach polonistycznych ta więź pogłębiła się tylko. Niezrozumiały był jedynie fakt,

że pomimo tak długoletniej znajomości Marzena i Remik nadal pozostawali wyłącznie w stosunkach dobro koleżeńskich. Sebastian z kolei był kolegą z pracy Remika i jego główną zaletą było to, że potrafił się pomiędzy nami całkowicie, szybko i bezboleśnie zaaklimatyzować. Ogólnie rzecz ujmując, razem z psem Mentosem stanowiliśmy udaną, nad wyraz zgraną rodzinę.

– Kaśka, ja cię zabiję – wyjęczała na dźwięk zamykanych za mną drzwi przyjaciółka Marzena.

– Dziewczyno, panuj nad sobą. My tutaj wyrrywamy sobie w przypływach szaleństwa włosy z głowy, a ty, jak gdyby nigdy nic, wracasz nad ranem z randki – dodał ogarnięty falą napływającej ulgi Sebastian.

– Kaśka, czy ty nie masz litości? My tutaj... – zaczął jęklwym tonem Remik i nie dokończył.

W tym bowiem momencie oświeciłam w korytarzu światło. Ich pełne dotychczasowej dezaprobaty oczy ujrzały widok całkowicie zaskakujący. Tuż przy drzwiach, podparta o szafkę z butami, stała sobie przemoknięta, brudna, z bezładnie przylegającymi do głowy, mokrymi włosami, rozmazanym po policzkach, wodoodpornym tuszem do rzęs, w podartej odzieży, owinięta jakimś ohydny, kraciastym kocem ich własna, wyczekiwana z irytacją i z niepokojem współlokatorka.

– Cholera! – skomentował jako pierwszy Sebastian, a Marzenie kubek z kawą wypadł po prostu z rąk i rozbił się głucho o podłogę.

– Kaśka... Kasia... Co on ci zrobił? – zapytał z nagłą furią w głosie Remik.

– Nic... Nic mi nie jest... Tylko tak strasznie zimno... – odparłam, pozwalając sobie na całkowitą bezradność. Teraz już byłam bezpieczna.

Marzena zdecydowanym ruchem ręki zdarła ze mnie koc, po czym z siłą ogarniającego ją zirytowania, powlokła mnie za sukienkę do łazienki.

– Ściągaj te ciuchy! Szybko!... I włącz pod gorący prysznic. Zaraz przyniosę ci twoją ciepłą piżamę... Chłopacy! Zagrzejcie jej mleka z margaryną i miodem. W szafce jest polopiryna, witamina c i taki biały antybiotyk. Damy jej wszystko na raz. Przecież ona jest cała sina... Kaśka! Nawet gdybyśmy mieli

siedzieć nad tobą do rana, opowiesz nam wszystko dokładnie. O tej porze... W takim stanie...

Zaprawiona pod gorącym prysznicem, czysta, z umyтыми i ułożonymi po ludzku włosami, ubrana w swoją grubą piżamę, opatulona ciepłą kołdrą i kocem po sam czubek głowy oraz nakarmiona mlecznym specjałem, polopiryną, witaminą c i białym antybiotykiem, odetchnęłam wreszcie z ulgą i zmuszona do opowiedzenia im całej swojej historii, zasnęłam dopiero o godzinie czwartej nad ranem. Nadchodzący dzień w pracy nie zapowiadał się nad wyraz szczęśliwie.

* * *

O tym, żeby udało mi się rozchorować, oczywiście nie mogło być mowy. Z głębokiego snu wyrwał mnie pikający tuż obok łóżka Marzeny budzik, dzięki czemu już po niespełna dwóch sekundach miałam okazję odkryć, że jedyne, czym zaowocowała wczorajsza, rozrywkowa noc, to rozległy, przyprowadzający mnie o nadmierną irytację ból głowy oraz nóg... I nic więcej. O kilku dniach chorobowego nie mogłam nawet pomarzyć.

Ubrana w dżinsowe, obcisłe dzwony w kolorze niebieskim, w równie obcisłą, jasnoróżową, sportową koszulkę oraz ciepły, czarny sweter na guziki, w pirackiej, błękitnej chuście na głowie, z kraciastym kocem w jednej i równie kraciastą, własnoręcznie uszytą torbą na ramię w drugiej ręce, wpadłam wraz z elegancko prezentującą się Marzeną do macierzystej redakcji. Miałam pomysł na dwa sensacyjne artykuły i zamierzałam z punktu wystąpić z nimi do szefa.

Wtargnęłam do niego bez zbędnego pukania, co w moim przypadku nie zrobiło na nim najmniejszego nawet wrażenia. Już po dwóch pierwszych tygodniach pracy ze mną doszedł bowiem do wniosku, że albo będzie zmuszony mnie zwyczajnie wyrzucić, albo też zaakceptuje stoicko większość płynących głównie z pośpiechu lub roztargnienia dziwactw. Jego marsowe miny, surowy ton oraz słuszne pretensje nie robiły na mnie absolutnie żad-

nego wrażenia. Do wszystkich, otaczających mnie osób żywiłam nieukrywany szacunek, miałam względy dla ich delikatnych uczuć, ale nieujarzmionego charakteru nie potrafiłam niestety zmienić. Tak więc to, co mnie uchodziło w stosunku do szefa niemalże bezkarnie, dla innych pracowników było po prostu nie do pomyślenia. Głowa naszej redakcji posiadała silny i bardzo zdecydowany charakter.

Stoicki spokój naczelnego, który z wyczuwalną uwagą wysłuchiwał moich niecodziennych relacji, podział na mnie zniechęcająco.

– Mógłbyś coś chociaż powiedzieć – wysapałam z nieukrywaną pretensją.

– A, owszem. Masz rację. Na początek zadam ci wreszcie intrygujące mnie już od dłuższego czasu pytanie. Kaśka, czy ty nie mogłabyś, jak każdy normalny człowiek, wyjść w końcu za mąż?

– O co właściwie ci chodzi? – zapytałam z odrazą, spoglądając podejrzliwie wprost w jego oczy.

– Miałabyś męża, dom, rodzinę i całą górę problemów do rozważania... – wyjaśnił w głębokim skrócie.

– Mam dom, mam rodzinę, a w zamian za męża wystarczy mi moja obecna szkoła. Za tydzień zdaję egzamin. Powiedz mi lepiej otwarcie, że nie chcesz mieć poważniejszych problemów, wydając artykuł na temat siostrzeńca prokuratora...

– Ten pomysł z wczorajszym napadem w kawiarni jest całkiem dobry. Możesz zbierać materiały, wpaść przy okazji na policję i od razu zacząć pisać...

– Tchórz! – wysapałam z niechęcią przez zęby.

– Kaśka, słuchaj...

– Niczego nie będę słuchać i niczego nie zamierzam rozumieć. Napiszę ten artykuł... Zasięgnę informacji o konkretnej dacie rozprawy i zacznę go pisać.

– Kaśka...

– Nie obchodzi mnie, co później z nim zrobisz. Ten facet nie pozostanie bezkarny. Napiszę nawet wówczas, gdyby aż do ogłoszenia wyroku nasza gazeta miała o nim nawet nie wspomnieć. Nigdy nie miałeś tematów tabu...

– Kaśka... Nie mów do mnie na ty! – spróbował zmienić niewygodny dla niego temat naczelny.

– Wypchaj się, Witek! Wczoraj w nocy ten łotr usiłował mnie zgwałcić! Chcesz, to mnie wylej! Swojego zdania nie zmienię. Nie zamierzam się podlizywać...

Podirytowana, zdeterminowana i zdecydowana wybiegłam z jego pokoju i usiadłam z rozmachem na krześle. Wiedziałam, że Witek ma bardzo ciężki orzech do zgryzienia, nie zamierzałam go jednak usprawiedliwiać. Ja byłam w o wiele bardziej niewygodnej sytuacji.

Zadzwoiłam z rozmachem do taty, zrelacjonowałam mu wczorajszy przebieg wydarzeń i poprosiłam, żeby zaczął działać. To, co usłyszał, wstrząsnęło nim, jako ojcem, dogłębnie, wobec czego postanowił sobie od razu, że zrobi w tej sprawie wszystko, co tylko będzie w jego mocy. Miał w świecie prawników jakieś drobne znajomości, tak więc całkowita bezkarność co do osoby siostrzeńca prokuratora nie wchodziła raczej w grę.

– Kaśka, zobacz! – trąciła mnie lekko w łokieć Marzena.

Wszyscy przebywający obecnie w pokoju redakcyjnym koledzy, odwrócili swoje głowy w kierunku otwierających się właśnie drzwi wejściowych.

– A niech mnie! – wyjęczał zaszokowany Artur.

Widywaliśmy wprawdzie w naszej siedzibie rozmaitych, przynoszących różne atrakcyjne przesyłki posłańców, ale tak ogromnego, pełnego kwiatów kosza jeszcze u nas nie było. Z niepokojem w duszach, niemalże z zapartym tchem oraz krwiożerczością w oczach oczekiwaliśmy w napięciu na wyłonienie spośród nas adresata urzekającej wszystkich przesyłki.

– Katarzyna Bujnicka!? – zapytał bezuczuciowym głosem posłaniec.

– To ja – wyjawiłam niechętnie, nie ukrywając wcale zdumienia i usiłując jednocześnie nie zwracać uwagi na zorganizowane w mgnieniu oka owacje kolegów.

– Proszę tutaj podpisać.

Przekonana o tym, że to zapewne jakaś niefortunna i krótkotrwała pomyłka, podpisałam posłusznie we wskazanym mi miejscu i wygrzebałam jednocześnie z kieszeni swetra kilka monet na zasłużony napiwek.

– Dziękuję bardzo! – wydusiłam z siebie z wysiłkiem, patrząc na odchodzącego posłańca.

Wszystkie obserwujące to zajście osoby rzuciły się jedna przez drugą na dołączony do bukietu bilecik.

– Zachowałam się wczoraj jak krety. Wybacz mi, Krzysztof – usłyszałam radosny, chóralny występ.

Machnąwszy ręką na kwiaty, nie zwracając uwagi na ich donośne, żartobliwe komentarze, usiadłam na krześle tuż obok Marzeny i przeczesalam palcami swoje krótkie, idealnie ułożone włosy. Nie cierpiałam tego typu zagrywek. Uwielbiałam wprawdzie otrzymywać kwiaty, ale bez żadnych, specjalnych okazji. Przekupstwo w ramach przeprosin doprowadzało mnie bez mała do furii. Czułam się zawsze tak, jakby ofiarodawca nie pozostawiał mi absolutnie żadnego wyboru. Jakby stosował taktykę manipulacji moimi uczuciami. Weźmiesz kwiaty i musisz mi wybaczyć, bo tak właśnie wypada i nie masz innego wyboru. A ja chciałam mieć wybór!!! I uważałam, że oblaśkiwanie kogokolwiek kwiatami, czy prezentami jest całkowicie nie fair. Największą wartość stanowili dla mnie ludzie, którzy potrafili powiedzieć przepraszam bez żadnych pomocniczych środków.

– A już myślałam, że to wreszcie Winicjusz – westchnęła wprost do mego ucha Marzena.

– Zwariowałaś!? Skąd ci tu teraz Winicjusz?!!!...

– Bo widzisz... On w te wakacje wyglądał na wyraźnie w tobie zakochanego.

– Jasne. Wtedy, kiedy poznałaś wójta, to nawet słupy telegraficzne emanowały według ciebie nieugaszoną, wzajemną miłością... I co? Ja też wyglądałam na wyraźnie w nim zakochaną?

– Głupia jesteś! Po prostu miałam nadzieję...

– To lepiej od razu ją porzuć. Po pierwsze ten facet jest kompletnym idiotą, a ja gustuję wyłącznie w ludziach inteligentnych, a po drugie to on ma teraz taką dziewczynę, że w ogóle zapomnij... Oszalałaś na dobre? Po prawie pięciu latach doznałaś nagłego olśnienia?

– Nie!... Ale szczerze mówiąc... Zresztą! Masz rację. On cię wyraźnie nie cierpi. Uważa, że jesteś maksymalnie głupia i wyuzdana...

– Dziękuję ci bardzo. Twoje podnoszenie mnie na duchu jest wręcz niezastąpione.

– Gdyby cię pokochał, byłby wyraźnie nieszczęśliwy...

– Czy mogłabyś zmienić temat? Widziałam go wczoraj po raz pierwszy od prawie roku. Zapomniałam, że ktoś taki w ogóle istnieje. Nie przypominaj mi o nim! Za każdym razem, kiedy go wreszcie spotykam, zaczynam rzeczywiście czuć, że jestem głupia, wyuzdana i inne takie... Ta jego pobłażliwa pogarda...

– Ho, ho! Trzeba mu przyznać, że nie wygląda obecnie najlepiej. Ma sporą bliznę...

– Skąd wiesz o jego bliznie? Nie mówiłam ci przecież...

– Nie musiałaś. Widzę ją bardzo wyraźnie. Winicjusz stoi w tej chwili w drzwiach i usiłuje zwrócić na siebie twoją uwagę.

Spojrzałam we wskazanym przez Marzenę kierunku i znieruchomiałam z zaskoczenia. Ubrany w policyjny mundur, uśmiechnięty szeroko Winicjusz, patrzył prowokacyjnie wprost w moje oczy.

– Czego chcesz? – zapytałam niezbyt życzliwie, przysuwając odruchowo do siebie kosz pełen kwiatów.

Winicjusz przeszedł demonstracyjnie przez całą długość pokoju, stanął tuż obok mnie, wyciągnął z bukietu bilecik, przeczytał go i spojrzał na mnie z tą swoją pobłażliwą pogardą w oczach.

– Chciałbym z tobą porozmawiać – przemówił wreszcie po dość długiej chwili milczenia.

– Świetnie! Od razu oddam ci koc.

– Ale nie tutaj. Gdzieś na osobności.

– Bez obaw. I tak miałam zamiar was odwiedzić. Potrzebuję pewnych istotnych informacji.

Winicjusz przyjął z niechęcią wrzucony mu prosto w ręce koc, po czym, zamieniwszy kilka uprzejmych zdań z Marzeną, podążył w ślad za mną.

– Masz czas? – zapytałam bez zbędnych wstępów.

– Owszem. Mam. Do rozpoczęcia pracy pozostała mi jeszcze prawie cała godzina.

– To chodź! Porozmawiamy sobie spokojnie u mnie w domu. Mam ochotę na mocną, czarną kawę. Nie czuję w ogóle głowy...

– To miało być zaproszenie?

– Potraktuj to sobie, jak zechcesz. Idziesz?

– Idę. A twoje kwiaty?

Miałam ochotę uderzyć go czymś twardym i ciężkim w sam środek tej jego beczelnie uśmiechniętej twarzy. Winicjuszowa pewność siebie oraz wyraźnie prowokacyjny stosunek do wszystkiego, cokolwiek związane było ze mną, wyprowadzały mnie od czasu do czasu z równowagi. Zwłaszcza, że w chwili obecnej zamierzałam wydobyć z niego potrzebne mi do artykułu informacje.

– A już miałem nadzieję, że może wreszcie gdzieś wyjechałaś – wyjęczał z udaną rozpaczą.

– I vice versa... Dokąd?! Skręcaj! To tutaj! – zawróciłam go z drogi wiodącej w kierunku oddalonego o dobry kilometr domu moich rodziców.

– Przeprowadziłaś się?

– Powiedzmy...

– Mieszkasz sama?

– Nie.

– Och, przestań. No, coś ty? Nie musisz przecież udzielać mi aż tak wyczerpujących informacji. Zachowaj choć trochę prywatności.

– Daruj sobie. Mnie nie interesuje, gdzie i z kim mieszkasz.

– O co ci chodzi? – zapytał zniecierpliwiony Winicjusz.

– O nic. To ty zawsze się czepiasz. Nie zamierzam dostarczać ci kolejnych powodów do większej ilości aluzji.

– Aha!

– Aha!

Dotarliśmy do mojego mieszkania w głębokim, prowokacyjnym milczeniu. Otwarłam przed Winicjuszem drzwi, zaprosiłam go gestem ręki do kuchni, po czym, nie pytając nawet o zdanie, zaparzyłam mu równie mocnej i równie aromatycznej, jak i samej sobie, kawy.

– Proszę – wcisnęłam mu w ręce kubek. – Jeżeli będziesz grzeczny, to poczęstuję cię jeszcze kawałkiem sernika.

Winicjusz od razu odzyskał swoje utracone na dłuższą chwilę poczucie humoru.

– Obiecujesz? – zapytał wymownie, mrugając do mnie okiem.

– Obiecuję – odpowiedziałam równie wymownie, pokazując mu blachę z ciastem.

– Dobrze. Wobec tego będę już grzeczny.

– O, rany! – wyjęczałam z nagłym przerażeniem w oczach, nie znając jak dotąd jeszcze reakcji swojego własnego psa na osoby zupełnie mu obce. Niby nigdy wcześniej nie rzucał się na ludzi podczas spacerów po ulicach, ale... Tym razem z nieodgadnionym wyrazem pyska stał sobie na progu kuchni i wpatrywał się z ogromnym napięciem w niezdającego sobie sprawy z potencjalnego zagrożenia Winicjusza. – Siad! Spokój! Nie ruszaj się! Pani prosi, bądź grzeczny... Wyjdź stąd! Idź sobie! A sio!... Przestań tak patrzeć...

Winicjusz, nie mogąc oderwać ode mnie swojego zaskoczonego wzroku, pomyślał sobie gdzieś w głębi duszy, że jest to u mnie całkowicie naturalny objaw, przecież zawsze byłam wariatką. Nigdy wcześniej nie urządziłam mu wprawdzie aż tak pasjonującego widowiska, ale kto wie... Mogło mi się zawsze pogorszyć.

– Winicjusz, nie wiem, czy cię obronię. On jest jeszcze bardzo młody i nie jestem pewna, czy posiadam nad nim dostatecznie dużą władzę.

Z niewyjaśnionych przyczyn zdeorientowany Mirek wciąż jeszcze nie dostrzegał stojącego na wprost niego psa. W zamian za to wygłoszone przeze mnie słowa odczytał jako aluzję do oskarżonego wczorajszej nocy siostrzeńca prokuratora.

– Zwariowałaś?! – zapytał, szczerze w to wierząc.

... I wtedy właśnie spokojny dotychczas Mentos postanowił wreszcie zareagować. Z ogromnym rozpędem wpadł oszołomionemu Winicjuszowi na szeroko rozstawione kolana, wytrącił mu z rąk kubek, wyrznął go czołem w brodę, kichnął mu prosto w twarz, po czym, jak gdyby nigdy nic, z niezaprzeczalnym dowodem przyjaźni na pysku, zaczął obgryzać intrygujące go guziki od służbowego munduru Mirka.

– Litości... – wyjęczał bezradnie Winicjusz. – Co to takiego?

– To mój pies. Mentos – wyjaśniłam rzeczowo, usiłując jednocześnie ochłonać.

– Zabieraj go! Co on mi robi?

– Lubi cię. Obgryza twoje guziki.

– Ja nie chcę... Idź precz, Mentos. Tylko nie moje guziki... Ooo... Faj! – Odsunął od siebie skórą do wyrażania uczuć mordę psa, który go właśnie polizał.

– Mentos! Złaż, świnió. Zobacz, co narobiłeś. Wylałeś mu całą kawę. Dobrze, że chociaż nie na mundur. Jeszcze sobie pomyśli, że z ciebie taki niewychowany pies. Idź sobie. W pokoju masz wszystko.

Z westchnieniem ulgi, a jednocześnie w przypływie olbrzymiego rozbawienia, wyprowadziłam Mentosa z powrotem do pokoju chłopaków, gdzie miał swoje siedzisko. Mirek na szczęście, po ochłonięciu z początkowego zdeorientowania, nie wyglądał na osobę, która by miała ochotę mnie zabić.

– Żyjesz? – zapytałam, patrząc na niego z pełnym skrucy uśmiechem, ścierając jednocześnie rozlaną po podłodze kawę. – Przepraszam. Zupełnie nie wiem, w jaki sposób stamtąd wyszedł. Był zamknięty... Poczekaj. Zrobię ci drugą.

– Nic nie szkodzi. Zaskoczył mnie trochę... Byłem pewien, że zwariowałaś i że te wszystkie uwagi na jego temat odnosisz do mojej osoby.

– Dziękuję ci bardzo...

– Cóż... Muszę przyznać, że tak mi jakoś było z tobą trochę za spokojnie... Chyba się starzejemy. Coraz mniej ogniste te nasze wzajemne złośliwości.

– Ależ... Nic straconego! Jeżeli chcesz, mogę ci zaraz zrobić dużą, płomienną awanturę. Dla ciebie wszystko.

– Dziękuję bardzo. Zanim cię spotkałem, brakowało mi licznych atrakcji.

Popatrzyłam na jego złośliwie uśmiechniętą, oszpeconą dość znacznie, ale nadal pełną uroku twarz i wcisnęłam mu prosto w rękę kolejny kubek z kawą.

– Ciekawe... A wyglądasz na to, że raczej wręcz przeciwnie – odparłam z ironią.

– A ty, co? Nie możesz ochłonąć ze szczęścia, że zrobili ze mnie Freddiego Krugera?

– Winicjusz... Czyżbym słyszała w twoim głosie gorycz? Ukróciło ci trochę skrzydła pewności siebie i samozadowolenia... Poczekaj, poczekaj! Nie przerywaj mi!... Chciałam ci tylko powiedzieć, że wreszcie wyglądasz jak człowiek. Jak zwyczajny, normalny mężczyzna. Przystojny, ale nie zniewalająco piękny... Nie trawiłam cię w tamtym wydaniu.

– Oszalałaś?! Nigdy nie przypuszczałem, że jesteś uprzedzona na tle ludzkiego wyglądu.

– Nie wyglądu, tylko sposobu myślenia. Uroda to rzecz względna... Nie chodzi o to, jak ludzie cię postrzegają, ale o twój własny, indywidualny sposób patrzenia na samego siebie. Twój był nie do strawienia. Przynajmniej dla mnie... Dla Marzeny zresztą też nie. Co ci się w ogóle stało?

– Aaa... Jeden z aresztowanych dosięgnął mnie swoim nożem. Trochę nie za ciekawie mu wyszło.

– No, owszem. Tak jakoś dziwnie. Wyglądasz, jakby to raczej od gwoźdźcia...

– Bo widzisz... On mi rozszarpał twarz czubkiem nie od tej strony, którą się zazwyczaj tnie.

– Tak mi przykro... Masz teraz oblicze stuprocentowego wojownika.

Winicjusz roześmiał się głośno, odstawił kubek z kawą, po czym, nakładając sobie na talerzyk kawałek kuszącego sernika, przystąpił do omawiania ze mną intrygującego go już od wczoraj tematu. Wyjaśnił mi, że aż do chwili zapadnięcia wyroku siostrzeniec prokuratora będzie miał pełną swobodę ruchów. Nie mogli go przecież trzymać w areszcie. Samo z siebie oskarżenie o gwałt nie zaszkodziłoby mu zapewne w stopniu najmniejszym. Wziąwszy jednak pod uwagę, że wymiar sprawiedliwości miał również zamiar dołączyć do niego kilka innych, nieudowodnionych mu dotąd przestępstw, istniała możliwość ewentualnych prób zastraszenia lub też przekupstwa. Znając z kolei mój ośli upór oraz niezachwiany charakter, Winicjusz poprosił, żebym potraktowała tę sprawę szczególnie poważnie i zaczęła na siebie uważać.

– Poczekaj! Ja sobie zanotuję! – poprosiłam, zanim zaczął udzielać odpowiedzi na moje dociekliwe pytania.

Z błyskiem w oczach i samozaparciem w sercu wyciągnęłam z torebki kalendarzowy notatnik, wygrzebałam z piórnika długopis, po czym przystąpiłam do zdecydowanego ataku. Nie zamierzałam wydobywać od niego żadnych służbowych tajemnic. Potrzebowałam po prostu konkretnych, sensacyjnych informacji do napisania planowanego artykułu.

Winicjusz nie potrafił powiedzieć mi nic więcej ponad to, co już sama wiedziałam. Jako świadek zdarzenia miałam o wiele większe pole do popisu, niż jako zdobywający informacje z drugiej ręki dziennikarz. Dowiedziałam się wyłącznie, że facet przypominający mi do złudzenia Antonia został wczoraj w kawiarni postrzelony, ale żyje, leży w szpitalu i nie chce nic na ten temat powiedzieć, a metodą półsłówek, mydlenia oczu i głębokiej dedukcji zdołałam odkryć, że była to zapewne próba pouczenia w związku ze znacznie spóźnioną spłatą długu dla pewnej podejrzanej grupy społecznej.

Zrezygnowałam z nadmiernej dociekliwości. Postanowiłam sobie, że w przypadku wyjaśnienia sprawy, będę miała od razu materiał do kolejnego artykułu. Wymogłam na Winicjuszu obietnicę, że w razie czego o wszystkim dowiem się jako pierwsza i wydzierając od niego niemalże przemocą numer telefonu komórkowego, odetchnęłam z głęboką ulgą. Wiedząc już, gdzie znaleźć zdublowanego Antonia Banderasa, beztriosko pozwoliłam sobie odprowadzić Winicjusza wprost na komendę oraz podpisać przy tej okazji sporządzone już wcześniej dokumenty.

Teraz musiałam jeszcze tylko wpaść do Urzędu Miasta, przeprowadzić umówiony wywiad z tutejszym burmistrzem i wypytać go bardzo dokładnie o zamierzone, kontrowersyjne posunięcie odnoszące się do poprawienia komfortu naszego miasta. Osobiście popierałam całym swym sercem przeciwników likwidacji starej, bezużytecznej fontanny i zagospodarowania jej miejsca w ramach powiększenia małego, niewystarczającego dla pracowników miejskiego sądu parkingu... Potem jeszcze kilka rutynowych telefonów, mających na celu wyłonienie wszystkich możliwych nowinek kulturalnych z okolicznych regionów i na dzisiaj to byłoby już wszystko... Ach, tak! Prawda! Zdjęcia! Dyktafon zawsze nosiłam przy sobie. Zboczenie zawodowe. Aparat fotograficzny zresztą też. Machnąwszy więc ręką na fakt, że znajduje się w nim obecnie niewypstrykana do końca klisza, której w niewyjaśnionych okolicznościach używał przyjaciel Remik, postanowiłam z lekkim sercem dorobić na niej kilka ujęć zarówno podobizny burmistrza, jak i miejskiej fontanny... Jak bardzo było to błędne posunięcie, pokazała dopiero najbliższa, niezbyt fortunna przyszłość.

* * *

Krzysztof zadzwonił dopiero w późnych, popołudniowych godzinach. Nie zamierzałam z nim wprawdzie rozmawiać, jednakże pech chciał, że to akurat ja podniosłam do ucha słuchawkę, więc już przepadło. Z głębokim po-

stanowieniem w duszy nieodbierania już więcej absolutnie żadnego telefonu, usiadłam ocieźale na blacie korytarzowej szafki.

– Kasia?... Cześć, Kasia! Jak dobrze, że cię zastałem. Dostarczono ci dzisiaj mój bukiet?

– Owszem. Dostarczono mi dzisiaj twój bukiet – powtórzyłam za nim bezmyślnie, usiłując jednocześnie ukryć wzrastającą z chwili na chwilę irytację. Już jaśniej nie mógł mi dać zapewne do zrozumienia, jak w takiej sytuacji powinnam się teraz zachować. – Ozdabia obecnie nasz redakcyjny pokój.

– Kasia... jesteś na mnie zła?

– Nie! Skądże!... Za co? Najpierw przecież okazałeś mi dość wyraźnie, do jakiej kategorii kobiet zaliczam się twoim zdaniem, a teraz na dodatek usiłujesz iść na łatwiznę, myśląc, że jeden bukiet kwiatów załatwi za ciebie wszystko.

– Kasia...?

– Słucham?

– Mówisz poważnie?

– A jak sądzisz?

– Kasia, proszę... Naprawdę mi przykro. Daj mi jeszcze jedną szansę.

Nie byłam wprawdzie bezduszną, ale nie miałam ochoty spotykać się z nim po raz kolejny. Mój niezawodny instynkt podpowiadał mi, że nie należy angażować siebie i innych w coś, czego nie ma się ochoty kontynuować. Nie zamierzałam nawiązywać przelotnego romansu, do czego zapewne zmierzał milowymi krokami Krzysztof... Nie miałam odpowiedniego charakteru.

– Słuchaj, Krzysiek... – wypaliłam wobec tego wprost z grubej rury. – Szkoda twojego czasu. Żeby mnie zdobyć, musiałbyś się ze mną najpierw ożenić. Jestem szalenie staroświecka.

Siedząca w kuchni Marzena zakrztusiła się jedzoną właśnie kanapką, a Remik z Sebastianem zamknęli z wielkim hukiem drzwi do pokoju, rechozcząc pełnym głosem wprost do poduszek.

– Kaśka... Oszalałaś?!!! – zapytał zdenerwowany Krzysztof.

– Nie. Jestem po prostu szczerą.

– Kasia... Hmm... Cóż... Wobec tego życzę ci powodzenia w poszukiwaniu kamikadze – powiedział, odkładając słuchawkę.

Moje zrozumiałe rozbawienie w chwilę po zakończeniu rozmowy wystarczyło w zamian za wyjaśnienie wszystkim tym, którzy podsłuchiwali intrygującą ich bardzo rozmowę.

– Ale ty jesteś głupia – skomentowała, pomimo wszystko pełna podziwu Marzena.

– Jeżeli w ten sposób będziesz ich wszystkich odprawiać, nigdy w życiu nie wyjdiesz za mąż – dołączył do niej Sebastian. – I pomyśleć, że nie chciałem ci wierzyć, kiedy mówiłaś, że masz perfekcyjnie opanowaną metodę uników... A te kwiaty, to co? Ładne?

– Śliczne – wyjaśniła mu w zamian za mnie Marzena. – Swoją drogą... Rozczarował mnie trochę ten twój Krzysztof. Za szybko sobie odpuścił... Przystojny był chociaż?

– Nie jestem pewna... Chyba trochę tak. A może nawet bardzo?... – odparłam zdumiona, uświadamiając sobie jednocześnie, że mówię im całkowitą prawdę. – Nie patrzyłam na niego.

Wszyscy troje spojrzeli na mnie tak, jakby zobaczyli właśnie niespotykany wybryk natury.

– Wiedziałem, że jesteś dziwna... – skomentował Sebastian. – Ale żeby aż do tego stopnia... Jak można iść z kimś na randkę i na niego nie patrzeć?

– Och! Nie wiem!... Ja nigdy na nikogo nie patrzę... To znaczy... Cóż!... No, owszem. Rozpoznałabym go na ulicy... Chyba... Oj, nie truj! Wysoki, czarny, ciemne oczy... Możliwe, że nawet typ amanta filmowego. Kogoś mi, zdaje się, przypominał, ale nie jestem pewna kogo, bo zapomniałam, jak wygląda. Gdybym go zobaczyła, to może... Byłam zafascynowana jego sposobem bycia. To taki szarmancki wodolej. Same perły mu z ust wychodzą. Gdyby nie okazał się aż taki typowy, byłby szalenie interesującym facetem...